

## Rozmowa z aktorką



Fot. Z. Janiszewski

# Zofia Kucówna

— Niedawno ukazały się „Pamiętniki” jednej z najwybitniejszych w historii teatru aktorek — Sary Bernhardt. Wyznania „boskiej Sary” poprzedza wstęp Pani autorstwa...

— Był to pomysł „Czytelnika”. Dostyc sceptycznie odniosłam się do tej propozycji. Później jednak przypomniałam sobie, że swego czasu oirzymywałam dobre noty z wypracowań z języka polskiego i choć nie bez tremy — „popelniłam” ten wstęp.

— Kończy Pani wstęp słowami „Była to jedyna gwiazda swoich czasów. Eleonora Duse rozpoczęła już inną epokę. Naszą epokę”.

— Takie odniosłam wrażenie po lekturze pamiętników Sary Bernhardt i Eleonory Duse. Wydaje mi się, że Duse to początek teatru psychologicznego. Oczywiście grała również i te popisowe tragedie, co jej wielka poprzedniczka, ale zapisała się w pamięci widzów przede wszystkim jako odtwórczyni ról w sztukach Strindberga czy Ibsena.

— Ponieważ wszystko lubi się powtarzać, być może i teatr gwiazd kiedyś się odrodzi?

— Może. Ale w czasach dzisiejszych nie istnieje. Istnieje tylko legenda wielkich Węgrzynów, Stępowskich czy Leszczyńskich. Teatr aktora to dziś anachronizm.

— Jakby więc Pani określiła teatr dzisiejszy?

— Teatr zespołu.

— Pani zdaniem nikt już dzisiaj nie chodzi do teatru po to, aby obejrzeć konkretnego aktora?

— Może i tacy widzowie się zdarzają. Ale jeżeli znajdzie się tak zwane wspaniałe nazwisko w złym przedstawieniu, to widownia świeci pustkami.

— A czego Pani jako widz żąda od przedstawienia?

— Pierwszy i podstawowy warunek: teatr ma mnie wyłączyć z moich prywatnych spraw, z którymi przyszlam. Jeżeli zaczynam patrzeć nie na scenę, a na sufit, ściany, zastanawiać się czy krzesło, na którym siedzę, jest wygodne to oczywiste, że ten podstawowy warunek nie został spełniony. Mnie nie interesuje, kto gra i jak gra, czy aktorzy wiszą, czy leżą, czy jeżdżą na wrotkach. Wszystkie chwytły są dozwolone, jeżeli dają pożądany skutek, a więc zmuszają do wyłączenia się z tych spraw, które cały dzień zaprzętały moją uwagę i wejścia w tę fikcję, którą proponuje mi teatr tak jakby to była rzeczywistość. Gwiazdy, wielkie kreacje, mój Boże! Niedawno byłam na spektaklu i przeżywałam przez trzy godziny męki. Wyszlam zmęczona, wściekła i nic nie pomogło, że była tam jedna naprawdę wspaniała kreacja.

— Chyba nie zaprzeczy Pani jednak, że i w naszych czasach istnieją gwiazdy?

— Ale one mają inny charakter niż chociażby Sara Bernhardt. Chodzą po ulicach i stoją w ogonkach. Dzisiaj nie traktuje się aktorstwa jak posłannictwa, ale jak każdy inny zawód z jego problemami, rozterkami.

— Powiedziała Pani: „rozterki”. Czy Pani też je przeżywa?

— Sądzę, że nie tylko ja, ale i wszyscy moi koledzy, i to przy każdym nowym zadaniu. Zresztą wydaje mi się, że człowiek dotąd jest twórczy w tym zawodzie, dopóki ma świadomość, że jeszcze nie wszystko wie. Kiedy aktor zaczyna korzystać z poprzednich doświadczeń — cofa się.

— Niemniej po paru latach sięga się również do już zdobytych umiejętności.

— Na pewno, ale czyni to nieświadomie. Każdy z nas zdaje sobie sprawę z tego, że ciągle należy doskonalić środki wyrazu, którymi już dysponujemy. I tutaj pomocny powinien być reżyser. Idealnym jest taki, który po prostu przeszkadza w pracy.

— W wejściu na drogę, którą się już dobrze zna?

— Oczywiście. Z własnego doświadczenia wiem, że rzeczy najlepsze robię z reżyserami, którzy mi tę pracę utrudniają. Nie mogę wtedy powielać tego, co już kiedyś robiłam. I chyba dlatego najbardziej lubię współpracować z mężem, pomimo że za każdym razem zmusza mnie do maksymalnego wysiłku. Denerwuje mnie, złości, o, właśnie — przeszkadza, ale wiem, że w końcu tylko taka praca daje wyniki.

Rozmawiała ANNA BORKOWSKA